

w głosie. – Co zaś do Ameryki, którą znam dobrze, to przyznaję, że wolę jeszcze naszą starą Europę. Jedną jest tam tylko rzecz wspólna! Natura! Natura, która pozostała w tym samym stanie pierwotnym, jak w pierwszych początkach swojego bytu. Gdyby pan znał te przełęczymie bory Nowej Ziemi! Szukacie Boga w głębi zimnych, surowych kościołów, a wyśmiewacie się z honoru na deskach waszych teatrów. Idźcie lepiej nad brzegi jezior bezgranicznych, poznajcie tajemnicę lasów. Tam znajdziecie tego Boga, którego tutaj napróżno szukacie, Boga Mocarza. Przejmnie was wielkością swoją i niewyczerpaną hojnością swoją. Powinieneś tam się udać, kochany doktorze. Cel pana wyolbrzymi się na tych przestrzeniach bez końca i jeżeli kiedy przyjdzie panu pragnienie spojrzenia w stronę Starej Ziemi, śmiać się pan będzie, doktorze, z tych nędznych, śmiesznych, skarlłowaciałych istot, które w próżności swojej chciały przerobić naturę na podobieństwo swoje i które ośmieliły się bezbożną ręką dotknąć najtajniejszych tajemnic przyrody.

– Dlaczegoż więc powrócił pando Europy? – zapytał Frank, zdumiony.

– Miałem cel, jak już panu mówiłem, cel ważny i porzuciłem wszystko, aby wypełnić misję, która mi była narzucona. Zobaczyłem znowu Europę. Ale, ile czasu będę musiał tutaj przepędzić, tego nie wiem jeszcze. Lecz przysięgam, że zadanie moje doprowadzę do końca i wówczas wezmę mój kij podróżny do ręki i powrócę do lasów, gdzie odnajdę dawną swobodę i samotność.

Głos nieznajomego przy tych słowach stał się prawie uroczystym i głębokim. Można było w nim odczuć silne podniecenie i gorączkę.

Frank odczuł, że znajduje się więcej, niż kiedykolwiek, pod wpływem nieznajomego i gotów na każde skinienie wypełnić jego wolę.

Naturę miał wrażliwą i romantyczną i słowa nieznajomego, opiewające cuda przyrody, nieznaną mu, wzbudziły we Franku entuzjazm i pragnienie poznania jej.

Popchnięty magnetyczną jakąś siłą, nagłym ruchem wyciągnął rękę do towarzysza i uściśnął dłoń jego gorąco.

Przez chwilę nastrój pomiędzy nimi był bardzo serdeczny i ułatwiający zwierzenia, może nawet prawdziwie czuła sympatia i przyjaźń drżała w ich głosach, ale powóz zatrzymał się nagle i Frank, momentalnie zmrożony, zapadł w dawną oziębłość i nieufność, bo uprzytomnił sobie, że, pomimo tej rozmowy, dosyć szczerzej, nie dowiedział się jeszcze, kim był ten człowiek, który umiał tak oddziaływać na jego umysł, otaczając się ciągle niezbadaną tajemnicą.

– Przyjechaliśmy już – odezwał się nieznajomy, wyskakując z powozu. – Teraz trzeba myśleć o realniejszych sprawach. Jeżeli pan chce, powrócimy jeszcze kiedy do tej rozmowy.

– Chętnie – odpowiedział Frank trochę niepewnym głosem.

– Zresztą, nie zabawimy tu długo. Dom ten oddawna jest do wynajęcia, ja zaś pragnę go kupić i sądzę, że nie napotkam w tym trudności.

Kiedy nieznajomy wymawiał te słowa, dał się słyszeć szybki turkot powozu i kareta, zaprzęgnięta w dwa przepyszne konie, zatrzymała się przy bramie willi.

Frank i nieznajomy zamienili zdziwione spojrzenie.

Lokaj, w wytwornej, ciemnej liberyi, zeskokczył z kozła i podbiegł drzwiczki otworzyć.

Z powozu wyszedł młody człowiek, o dziwnie harmonijnych i wdzięcznych ruchach i skierował się w stronę willi.

Było coś w jego wysmukłej, zgrabnej postaci, co musiało zwrócić uwagę każdego. Twarz o regularnych, arystokratycznych rysach, wydłużona cokolwiek ku dołowi, otoczona była falą jasnych, wijących się naturalnie włosów. Pod długimi, czarnymi rzęsami błyszczały szafirowe oczy, spokojnym, głębokim blaskiem. Rysunek ust i nosa wykazywał dziwną energię i stanowczość.

Na pierwszy rzut oka młody człowiek czynił wrażenie dziecka piętnastoletniego, tyle żywości i wdzięku było w każdym jego ruchu, a jednak pewny, poważny wyraz twarzy wskazywał, że młodzieniec ten dochodził już do lat pierwszej dojrzałości.

Całą postać jego okrywał długi, szeroki płaszcz podróżny. Spoglądając Franka i jego towarzysza, młody człowiek zarumienił się lekko

i cień wzruszenia zamigotał w jego oczach. Ale opanował się szybko i wzrok jego przybrał dawną śmiałość i energię, a na ustach ukazał się drwający uśmiech.

Skąd jednak to wzruszenie na widok osób, których nie widział przedtem nigdy? Być może, że uległ uczuciu wrodzonej nieśmiałości i zmieszaniu, które jednak usunąć prędko potrafił.

Frank od pierwszej chwili został uderzony sympatycznym wyglądem młodego nieznajomego. Było bowiem tyle wdzięku w jego lekko ironicznym uśmiechu i tyle inteligencji i bystrości w błyszczących oczach, że odczuł do niego odrazu sympatię i nagłą życzliwość.

Towarzysz Franka również nie został obojętnym.

Badawcze jego spojrzenie objęło pięknego chłopca i tak, jak Frank, uderzony został energią i wytwornością, bijącą od jego postaci.

Wyczuł w nim charakter silny i wyższy i skonstatowanie to wprowało go w lekkie zmieszanie.

Tymczasem młody podróżny zbliżył się do furtki ogrodowej i, znalazłszy się naprzeciw Franka i jego towarzysza, skłonił się przed nimi z wyszukaną kurtuazją.

Frank cofnął się, aby mu ułatwić przejście.

– Pozwoli pan, że przejdę po panu – odezwał się młody człowiek. – Proszę przejść, panie doktorze.

– Pan mnie zna? – zapytał Frank, mocno zaintrygowany.

– Od wczoraj cały Paryż zna doktora Franka, który w cudowny sposób uratował córkę barona de Compans – odparł z prostotą podróżny.

Pochwała ta Niemile dotknęła młodego doktora, wiedział bowiem on tylko jeden, że nie zasłużył na nią, bo uzdrowienia Sylwii de Compans dokonał właściwie ktoś inny, a tego wyznać nie mógł.

Towarzysz zaś jego na te słowa ściągnął brwi niechętnie. Jeszcze bystrzejsze spojrzenie zatopił w twarz młodego podróżnego, ale nie wyczytał w niej nic, prócz uprzejmości, zdradzającej dobre wychowanie.

Albo więc chłopiec ten nie miał żadnej ukrytej myśli, zwracając się do Franka, albo też tak trudnym był do zbadania.

Ta niepewność sądu obudziła w nieznajomym uczucie podejrzliwości głębokiej.

– Fałszywe pochwały – szepnął cicho do ucha Franka.

Tego zaś ta uwaga dotknęła Niemile, bo z natury był szczerzy i skory do ufności wobec ludzi.

Bez słowa przestąpił próg furtki ogrodowej.

– Proszę przejść – odezwał się uprzejmie młody człowiek – proszę przejść, panie Lopez.

Towarzysz Franka nie mógł powstrzymać drżenia usłyszawszy imię swoje, wymówione głośno.

Zacisnął usta gniewnym ruchem i oczy jego, błyszczące i zimne jak stal, spoczęły wyzywająco na podróżnym.

Ale i tym razem spotkał tylko twarz spokojną, ożywioną uprzejmym uśmiechem.

– Zdaje się, że pan zna świat cały! – rzekł wkońcu tonem złośliwym.

– Tak, jak pan, podróżowałem wiele – brzmiała odpowiedź.

– Szczególna rzecz, że nie spotkałem pana nigdzie na swojej drodze.

– Oh! Jestem tak drobną osobistością, że przechodzę wszędzie niespostrzeżenie.

– Pan naprawdę jest zanadto skromnym – odparł nieznajomy, nazwany Lopezem. – Zaręczam panu, że wystarczy pana raz zobaczyć, aby zapamiętać dobrze.

– Pan bardzo dla mnie łaskawy – wyrzekł młody człowiek z prostotą.

– Proszę, niech pan przejdzie pierwszy – nalegał Lopez, hamując niecierpliwość.

– Czyż nie jest pan tutaj, jak u siebie?

– Co? – syknął Lopez, prostując się z twarzą pobladłą i zmienioną. – Co pan chciał przez to powiedzieć?

– Chciałem zaznaczyć, że pochodzę z Montenegro, ale że teraz obydwa znajdujemy się we Francji – rzekł młody człowiek, nie zając się zwracać uwagi na zmieszanie Lopeza, który w milczeniu, z brwiami silnie ściągniętymi i głęboko zamyślony, wszedł do ogrodu.

Ale po chwili otrząsnął się z tego wrażenia, potrząsnął głową, jak gdyby odpędzić chciał myśl jakąś natrętą i zwrócił się do młodego Montenegrończyka z ironicznym zapytaniem:

– Czy pan także pragnie nabyć tę posiadłość?

– Może – odpowiedział łamten wymijająco.

Podczas tej krótkiej zamiany słów, Frank, który znalazł się pierwszy w ogrodzie, otaczającym willę, przechadzał się powoli, rzucając zaciekawione spojrzenia wokół.

Posiadłość do sprzedania.

Ogród ten miał wygląd dziki i opuszczony. Widzieć było można od pierwszego wejścia, że nikt nie dbał o utrzymanie go w porządku. Trawniki i grządki kwiatowe zarosnięte były wysokimi i gęstymi chwastami, wspinającymi się aż po konarach starych drzew. Wismukle, dzikie maki rosły tu w wielkiej obfitości, pałaszując się zuchwale nad trawami, przytłaczając je swoją niezwykłą bujnością. Grube pokłady mchu pokrywały konary drzew, ścieżki, niegdyś posypane piaskiem, zarosnięte były zieliskiem przeróżnym, wskazując, że dawno już bardzo nikt nie przechadzał się po nich.

Dom, wznoszący się w środku ogrodu, nacechowany był również piętnem opuszczenia i smutku. Zdawał się nie być zamieszkanym. Zielone okiennice pozamykane były starannie na wszystkich piętrach.

Po ścianach deszcze i wilgoć niezatarte pozostawiły ślady, znacząc je długimi, ciemnymi rysami, miejscami malowidła znikły zupełnie, a na zamkach i okuciach rdza osiadła gęsta.

– Smutne mieszkanie – zauważył doktor Frank, przejęty tym widokiem.

– Czyni wrażenie opustoszałej wyspy – dodał młody podróżny.

– Do kogo ten dom należeć może?

– Zaraz się pan o tem dowie – wtrącił się do rozmowy Lopez. Szybkim krokiem podszedł bliżej do domu, na progu którego ukazał się teraz człowiek, wyglądający na dozorcę tej posiadłości.

Ten człowiek, którego żaden z trzech mężczyzn nie znał wcale, był to Paskal, dawny sługa hrabiego, właściciela willi. Zachował on dotąd ten sam wygląd. Fałsz, podstęp i złośliwość nie znikły z latami z jego niesympatycznej twarzy. Zestarzał się tylko i choć postawa jego wyrażała dawną siłę i odporność, gęste jego włosy i brodę pokrywała siwizna.

Lopez podszedł do niego i rzekł uprzejmie: – Mój przyjacielu, czy nie mógłbyś nam powiedzieć, do kogo należy ta posiadłość?

– Do hrabiego de Compans – odparł służący, obrzucając nowoprzybyłych podejrzliwym spojrzeniem.

Odpowiedź ta wyrwała okrzyk zdumienia z piersi Franka i nie zdając sobie dobrze sprawy z doznanego wrażenia, pomyślał natychmiast, że Lopez dobrze wiedział, kto jest właścicielem willi i rozmyślnie dla tej przyczyny sprowadził go tutaj.

– Nie wiedział pan o tem, że willa „la Bièvre” jest własnością hrabiego? – zapytał młody podróżny, zbliżając się do Franka.

– Nie wiedziałem – odparł tenże – i tembardziej dziwię się, widząc stan jej wielkiego zaniedbania i opuszczenia. Można z tego domu uczynić niewielkim kosztem i zachodem jedną z najprzyjemniejszych letnich rezydencji i zdumiony jestem, że hrabia de Compans o tem nie pomyślał dotąd.

– Hrabia de Compans, albo ktoś inny – zauważył młody człowiek.

– A może – rzucił niedbale Lopez – hrabia de Compans kierują jakieś osobiste względy, które oddalają go od tych stron.

Po tych słowach nastąpiło chwilowe milczenie.

Młody podróżny i Lopez zamienili pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia, a Paskal poruszył się niecierpliwie. Frank tylko jeden pozostał spokojny i obojętny.

– Jakież to mogą być powody? – zapytał z uśmiechem Lopeza.

– Ach! Kochany doktorze! Czy to wiedzieć można! Panu de Compans dobrze tam, gdzie jest i obawia się może zmiany powietrza dla swojej córki.

– Ależ powietrze jest doskonałe w tej dolinie.

– Rzeczywiście, ma pan słuszość.

– A więc?

Lopez wzruszył ramionami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)